

Moje dziecko – moje lustro



Kiedyś w teorii wiedziałam wszystko, bo przecież ciężarne i bezdzietni uważają, że w temacie dzieci pozjadali wszystkie rozumy. Też taka byłam. Wiedziałam, że dziecko odziedziczy moje geny, a przynajmniej ich część. Że ja jako rodzic będę dla niego przykładem. Że niczym w amerykańskim filmie akcji wszystko, co powiem, będzie mogło być wykorzystane przeciwko

mnie. Ale kiedy urodził się mój synek i na żywo zobaczyłam, że ma moje palce u nóg i rąk, że ma twarz i włosy swojego taty, że tak samo jak ja jest ostrożny, a na traktor mówi *kakuk*, wszystkie te banały się skonkretyzowały i dotarły do mnie ze zdwojoną mocą.

Dziś, po ponad dwóch latach, z każdym dniem coraz mocniej przekonuję się o tym, że każdy mój gest, każde moje słowo, każdy mój błąd, a przecież robię ich całą masę, odbija się w moim dziecku jak w lustrze, jak w tafli wody. Gdzie ja, tam on. Moja emocja – jego emocja.

Nie ma mnie – nie ma jego

Zawsze kiedy wracam później, kiedy dużo pracuję, kiedy wyjeżdżam, a Ignas spędza czas z tatą i babcią czuję, że oddała się ode mnie. Mnie nie ma fizycznie, a on emocjonalnie jest ode mnie o kilometry świetlne. Czuję to, kiedy wracam. Nie chce się przytulić, nie chce, żebym go przebrała, zamyka mi drzwi przed nosem, obraża się. To boli, bo jako matka muszę chodzić na kompromisy pomiędzy miłością do dziecka, a pracą i zainteresowaniami. Każda nieobecność to potem tygodnie i miesiące wspólnego wysiłku, jego i mojego, żeby to odrobić, płaczu, nerwów i często niepotrzebnego krzyku. Żeby znowu przytulenie i buziak nie były wymuszone, żeby cały nasz wieczorny rytuał – kolacja, kąpiel, bajka – należał tylko do nas, żeby znowu wspólne chwile nie były trudne. Moja nieobecność odbija się w moim dziecku i na moim dziecku. Wiem to i cierpię, a jednocześnie nie umiem inaczej. Czy to czyni ze mnie gorszą matkę? A może jednak dzięki temu kiedyś pokażę

mu, że warto robić w życiu coś więcej, wносить wartość dodaną gdzieś jeszcze poza najbliższym otoczeniem, mieć pasję i zainteresowania? Chciałabym, żeby tak to widział, ale póki co staram się być sobą, być obecna tam, gdzie chcę i powinnam być obecna, i nie oszaleć.

Moje nerwy – jego nerwy

Pozostając w temacie szaleństwa, wiem też doskonale, że moje dziecko ZAWSZE odbija moje nerwy. Każde podniesienie głosu, każdy nerwowy ruch, każde zniecierpliwienie momentalnie przeradza się w jego reakcję. Dziecko chłonie jak gąbka dosłownie wszystko, a często są to zwykłe reakcje łańcuchowe. Ja nie rozumiem jego potrzeby lub zachowania, on się irytuje. Kiedy się irytuje, ciężko mu cokolwiek wytłumaczyć. Kiedy nie umiem wytłumaczyć, zaczyna we mnie wzbierać fala zdenerwowania. Ja się denerwuję – on się denerwuje jeszcze bardziej. Stop. Powinniśmy się zatrzymać tu, albo dużo wcześniej. I nie oboje, tylko ja powinnam się zatrzymać, bo on ma tylko dwa lata. Próbuję to sobie wytłumaczyć, liczyć do dziesięciu, pięćdziesięciu lub stu, nie zawsze pomaga. Ale krzyk też nie pomaga. Skąd wiem? Sprawdziłam. Totalny absurd.

On płacze – ja płaczę

Od ponad dwóch lat ja i on płaczemy bardzo dużo. Kiedy był malusieńki i płakał z niezrozumiałych powodów, ja płakałam razem z nim. Kiedy był zmęczony i płakał, ja też płakałam ze zmęczenia. On łzami komunikował, że coś jest nie tak, mnie łzy oczyszczają i pozwalały dojść do siebie. Do dzisiaj płaczę dużo i często, chociaż już dużo rzadziej niż jeszcze rok temu. Płaczę ze zmęczenia, ze smutku, z rozczarowania samą sobą, ze wzruszenia. Płaczę, kiedy oglądam jego zdjęcia z okresu niemowlęcego, kiedy przypominam sobie moją walkę i zdaję sobie sprawę jak wiele jeszcze nauki i walki przede mną. Wiem, że być może powinnam mówić, że macierzyństwo jest dla mnie łatwe i piękne, bo często tak jest. Ale bywa też trudne i brzydkie,

a ja nie jestem mamusią z reklamy mleka modyfikowanego. Więc owszem – denerwuję się i płaczę, a moje dziecko mi wtóruje. Czy dzięki temu coś tracimy? Łudzę się, że nie. Uczymy się emocji.

Ja się śmieję – on się śmieje

Ale, mój Boże, zgrzeszyłabym mówiąc, że to tylko lustro w jedną stronę. Przecież moje dziecko jest najcudowniejsze na świecie! Wasze też? To się dobrze składa! Moja radość jest jego radością i odwrotnie. Łaskoczę go, a on wchodzi mi na głowę. Powiem coś, jakieś dziwne, nieznane mu słowo, a on pęka ze śmiechu, a ja razem z nim. „Kiedy śmieje się dziecko, śmieje się cały świat” – znacie to? No pewnie. Dobry, stary Korczak oczywiście miał rację. Kocham ten dziecięcy, nieskrępowany chichot z niczego, ten śmiech do rozpuku, bez granic i bez powodu. Cholera, najśmieszniejsze jest to, że płaczę, kiedy to piszę, głupia ja. Bo przecież powinnam się śmiać! I już teraz wiem, że za kilka – kilkanaście lat to właśnie tego najbardziej mi będzie brakować. Ale z drugiej strony – może jeszcze nieraz się razem pośmiejemy? Trzymam za to kciuki!

Mój spokój – jego spokój

I wreszcie prawda do obrzydliwości uniwersalna. My, rodzice, wszyscy ją znamy. Inna sprawa, że nie zawsze stosujemy, ale tym, co stoi nam do niej na przeszkodzie, jesteśmy my sami. Czyli tak naprawdę coś nie do przeskoczenia. Spokój generuje spokój. Cierpliwość generuje cierpliwość. Twoje lustro odbija to, co w danej chwili masz na twarzy i w sobie. Uwielbiam te chwile satysfakcji, kiedy spokojem udaje mi się osiągnąć szybkie uśpienie małego, przezwyciężenie jego zdenerwowania i wspólnego braku zrozumienia. Jestem zwycięzcą kiedy umiem sobie wytłumaczyć, że to tylko dziecko, że widzi świat inaczej niż ja, że to ja jestem dla niego przykładem. Nie zawsze mi to wychodzi, bardzo dużo czasu straciłam na denerwowaniu się i

patrzeniu, jak moje nerwy niszczą naszą relację. Ale jednocześnie wyciągam wnioski i uczę się, z każdym dniem coraz lepiej opanowuję trudną sztukę spokoju.

I codziennie patrzę w najdroższe lustro świata, ale ani przez moment nie żałuję, że tyle w nie zainwestowałam.